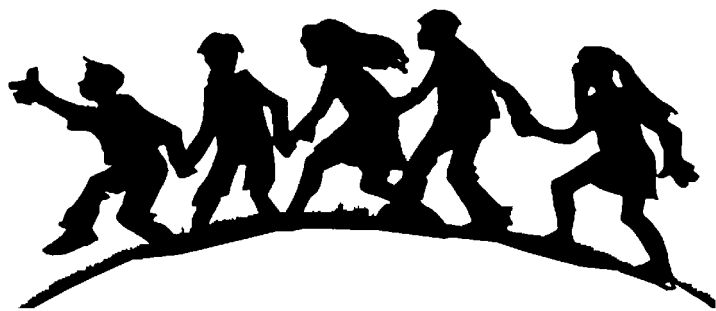


**Zbigniew Nienacki**

**PAN SAMOCHODZIK**

**i  
Wyspa  
Złoczyńców**



Zbigniew Nienacki  
**Pan Samochodzik i Wyspa Złoczyńców**  
powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Monika Kanios

Korekta:  
Joanna Pijewska

**Wydanie VI**  
w Wydawnictwie Literatura

**ISBN 978-83-7672-371-6**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Dziwny spadek – Tajemniczy wehikuł wuja Gromiłty – Co to za stwór – Sensacja na ulicy – Larwa obrzydliwego chrabąszcza – Szaleńcza szybkość – Zdumienie automobilistów – Co potrafi wehikuł wuja*

Nie trzeba szukać przygody. Nie znajdzie się jej, choćby pojechało się aż na koniec świata, przez siedem rzek i za siedem gór. Nie zjawi się, choćby czekało się na nią dzień i noc, prowokując ją i zastawiając na nią pułapki. Nie przywoła jej żadna prośba i może się okazać, że nie ma jej nawet tam, gdzie tyłu już ją spotkało. Czyż nie zdarzyło się niejednemu odbywać podróży przez słynny z burzliwości ocean, gdy był on spokojny jak staw za domem? Czyż nie przydarzyło się niejednemu, że przedzierając się przez najdzikszą dżunglę, nie napotkał ani krwiożerczych zwierząt, ani czyhających na jego życie krajowców, a dzika dżungla okazała się tak bezpieczna jak park miejski?

Bo przygody nie trzeba szukać. Ona zjawia się sama. Przychodzi w najbardziej nieprzewidzianych momentach i w nieoczekiwanej postaci, najczęściej, gdy nie spodziewamy się jej, nie pragniemy jej, gdy nie jest nam ona potrzebna. Najpierw daje nam znak – że oto jest, przyszła po ciebie, chce cię ogarnąć i wciągnąć w swą grę. Musisz od razu wiedzieć, że to właśnie jej znak, musisz go rozpoznać wśród tysiąca innych znaków. Nie wolno ci zlekceważyć jej wezwania ani odłożyć go na później. Nie lubi leniwych. Pominie cię, odejdzie i więcej po ciebie nie wróci...

Zadziwiająca przygoda, jaką przeżyłem na Wyspie Złoczyńców, zapukała do mnie pod koniec czerwca. Ubrana była w mundur listonosza, który wręczył mi zapieczętowaną kopertę z nagłówkiem: „Zespół Adwokacki nr 3 w Krakowie”. W zapieczętowanej kopercie znajdowało się zawiadomienie Zespołu Adwokackiego, że po prawie rok trwającym przewodzie spadkowym na mocy testamentu zmarłego przed rokiem wuja mego – Stefana Gromiły, stałem się właścicielem znajdującego się w Krakowie murowanego garażu samochodowego oraz znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego. Z treści listu wynikało, że po opłaceniu pewnych kosztów związanych z przewodem spadkowym mam obowiązek wejść w prawa posiadacza garażu samochodowego oraz znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego.

Wyznaję, że list ów wprowadził mnie w pewne zakłopotanie. Nie czułem potrzeby posiadania w Krakowie „murowanego garażu samochodowego”, mieszkałem bowiem w Warszawie. A o ile dobrze pamiętam, ów „pojazd mechaniczny” był okropnie starym gratem.

Czyż mogłem przypuszczać – czy ktokolwiek z Was spodziewałby się – że list z Zespołu Adwokackiego jest wezwaniem najprawdziwszej i pełnej niebezpieczeństw PRZYGODY?

Zatelefonowałem do swego młodszego brata, zdecydowany darrować mu „murowany garaż samochodowy i znajdujący się w nim pojazd mechaniczny”.

Odmówił. Powiedział, że on również otrzymał list z Zespołu Adwokackiego nr 3 w Krakowie i na mocy testamentu wuja Stefana Gromiły stał się właścicielem książeczki, na której znajduje się osiemdziesiąt tysięcy złotych.

– Za te pieniądze, jeśli zechcę, będę mógł kupić sobie nowy samochód – rzekł mój młodszy brat Paweł. – Po co mi stary grat wuja? A i garaż w Krakowie również nie jest mi do niczego potrzebny. Sprzedaj go – doradził mi.

Zatelefonowałem do kuzynki Franciszki. Okazało się, że i ona otrzymała list z Krakowa i stała się właścicielką kompletu mebli stylowych oraz szafy z książkami, należącymi do naszego wuja.

– Wyjaśnij mi, moja kochana – powiedziałem kuzynce – dlaczego właśnie mnie wuj Gromiło darował garaż i starego grata? Czyż nie rozsądniej by było zapisać mi w testamencie szafę z książkami? Wyznaję, że najbardziej chciałbym otrzymać osiemdziesiąt tysięcy na książeczce oszczędnościowej.

– Ostatni raz spotkaliśmy się z wujkiem przed dwoma laty – przypomniała mi Franciszka. – To było na pogrzebie ciotki Anny. Czy nie chwaliłeś się wówczas, że właśnie otrzymałeś prawo jazdy?

– No tak. Teraz to już wszystko rozumiem. Wuj myślał, że Bóg wie, jak wielką radość sprawi mi swoją darowizną.

I rad nierad zmuszony zostałem „wejść w posiadanie murowanego garażu samochodowego i znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego”. Pojechałem w tym celu do Krakowa, śpieszyłem się zresztą z załatwieniem tej sprawy, ponieważ na początku lipca oczekiwał mnie służbowy wyjazd na dość długi okres.

Zdecydowałem się pójść za radą mego młodszego brata i sprzedać zarówno ów garaż, jak i samochód wuja. Kto wie – zastanawiałem się – może suma, uzyskana ze sprzedaży, starczy na pierwsze raty za jakiś nowy wóz? Taki pojazd przydałby mi się na urlopie.

Chętnego do nabycia garażu znalazłem bardzo prędko, gorzej było z nabywcą starego samochodu wuja Gromiły. Ktokolwiek obejrzał ów wehikuł, uśmiechał się z zakłopotaniem i natychmiast żegnał się ze mną. Nawet nie próbował pytać o cenę.

Bo też był to samochód wystarczająco dziwaczny, aby odstraszyć każdego normalnego człowieka. Jego wygląd sprawiłby w radość kogoś skłonnego do największej ekstrawagancji, kogoś, kto nie przejmowałby się tym, że na widok owego samochodu poru-

szającego się na ulicach miasta będą przystawać zdumieni przechodnie, a każde zatrzymanie go przy chodniku spowoduje gromadzenie się tłumów wydziwiającej dzieciarni. Pojazd mego wuja powodowałby prawdopodobnie zakłócenie spokoju publicznego w mieście również dlatego, iż wraz z jego pojawieniem się na ulicy przerażeni kierowcy warszaw, syren czy moskwiczów przyciskałiby klakson, aby upewnić się, że nie śnią i że „takie coś” nie jest latającym talerzem z Marsa.

Wyobraźcie sobie czółno odrapane, zielonkawożółte, z brązowymi i granatowymi zaciekami, na czterech kółkach, z których dwa tylne mają szprychy, a dwa przednie ich nie posiadają. Na tym czółnie znajduje się brezentowy wypłowiały namiot koloru khaki. W namiocie tym są celuloidowe okienka – z tyłu i z boków. Namiocik jest dość duży, w gruncie rzeczy w wehikule owym pomieścić się mogą nawet cztery osoby, reszta namiotu zabudowana jest jakimiś dziwnymi mechanizmami. Przyznaję, że nawet nie próbowałem uruchomić owego pojazdu – takim napełniał mnie strachem.

– Proszę pana – odezwałem się do pewnego weterynarza, który okazał gotowość nabycia garażu. – Garaż jest duży, murowany, suchy, widny, a do tego z doskonale wyposażonym warsztacikiem reperacyjnym. Myślę, że nie będzie dla pana krzywdą, jeśli za niewielką dodatkową opłatą nabędzie pan ode mnie także i samochód mego wuja.

– To nie samochód – zdecydowanie stwierdził weterynarz.

– Przepraszam, a co to jest?

– Nie wiem. Ale to na pewno nie jest samochód. Gdybym czymś takim pojechał na wieś leczyć konie lub krowy, ludzie uciekliby przede mną. Straciłbym klientelę.

– Niech go pan rozbierze na części – doradziłem.

– Panie – zawołał przestraszony weterynarz – a do jakiego samochodu nadałaby się choć jedna część z tego pojazdu? Chyba, żeby go sprzedać na złom, na kilogramy. Ale to już pan sam zrób.

Weterynarz zajrzał przez celuloidowe okienko do wnętrza wehikułu.

– Patrz pan – rzekł – ten pański wuj to musiał być niezły dziwak. Na desce rozdzielczej jest tyle zegarów, co w nowoczesnym cadillacu. Ten pojazd nie rozwija chyba więcej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a szybkościomierz ma do dwustu osiemdziesięciu kilometrów. O ile, rzecz jasna – zastrzegł się – ten pojazd w ogóle potrafi ruszyć z miejsca. Tfu – splunął. – Takie coś może się człowiekowi tylko przyśnić, a nie będzie to sen najprzyjemniejszy.

Weterynarz okazał się człowiekiem bardzo ciekawskim. Uniósł maskę pojazdu wuja, potem zajrzał do skrzyni.

– Ma, zdaje się, przedni i tylny napęd – oświadczył, co zresztą i ja równocześnie z nim stwierdziłem.

– Posiada dwanaście cylindrów – dodał.

Obejrzelismy skrzynię biegów.

– Owszem, jest pięć biegów przednich i jeden bieg wsteczny – zauważył weterynarz.

Jeszcze tu i ówdzie spojrzeliśmy, sprawdziliśmy przewody elektryczne. Włożyłem kluczyk w stacyjkę. Motor natychmiast począł pracować, czynił to bardzo cicho, prawie niedostłyszalnie.

Weterynarz podrapał się w głowę.

– No, dobra – powiedział łaskawie – dodam panu jeszcze pięć tysięcy i kupię garaż razem z tym wehikułem.

Ale i ja tymczasem zrobiłem sporo ciekawych spostrzeżeń, które zadecydowały, że z mniejszym niż dotąd przerażeniem spoglądałem na wehikuł wuja Gromiły.

Postarałem się także przypomnieć sobie sylwetkę mego wuja. Było to dość trudne, ponieważ znajomość z wujem ograniczyła się do kilku rodzinnych spotkań i do tego, co o nim w rodzinie mówiono. Opowiadano zaś o wuju jako o pełnym fantazji dziwaku, wykształconym i bardzo zdolnym, któremu jednak w życiu się nie

powiodło. Wuj Gromiło był inżynierem mechanikiem, kiedyś zarabiał bardzo dobrze, ale większość zarobków pochłaniały wynalazki, które nieustannie opracowywał i których wykorzystanie proponował odpowiednim instytucjom. Wymyślił więc wujek Gromiło kłódkę, która miała zabezpieczać przed najzmyślniejszymi złodziejami, drzwi wodoszczelne, hamulce kolejowe działające podobno znacznie lepiej od tych zazwyczaj używanych. Wymyślił także jakiś specjalny zmywak do naczyń kuchennych, specjalny rodzaj szkła ognioodpornego. Żaden z tych wynalazków nigdy nie został wykorzystany. Dlaczego? Tego nikt w naszej rodzinie nie wiedział. Prawdopodobnie były to mało praktyczne wynalazki. Wiem, że kiedyś podarował moim rodzicom jedną ze swych fenomenalnych kłódek. Rodzice założyli ją w piwnicy, gdzie tak długo nikomu nie wadziła, aż gospościa zgubiła od niej klucz. Wówczas rzeczywiście żaden ślusarz kłódki tej nie potrafił otworzyć i trzeba było wrywać drzwi razem z futryną, co bardzo rozgniewało moich rodziców. Odtąd nigdy już nie zdecydowali się założyć kłódki wynalezionej przez mego wuja, choć wuj zaofiarował się z następną.

– No, więc jak, bierze pan te pięć tysięcy? – spytał weterynarz. Przecząco pokręciłem głową.

– Dam panu dziesięć – podniósł cenę.

To właśnie upewniło mnie w przekonaniu, że pojazd mego wuja jest wart więcej, niż to się mogło z pozoru wydawać.

– Przyszło mi do głowy – powiedziałem do weterynarza – że jednak ten wehikuł stanowi pewnego rodzaju pamiątkę po moim wuju i nie powinienem się z nim tak od razu rozstawać.

Weterynarz zrobił obrażoną minę.

– Jak pan uważa – rzekł. – Ale w Krakowie wszyscy wiedzą, że pański wuj był wariatem. Ten pojazd jest chyba także wariacki. Westchnąłem z udanym ubolewaniem.



– Trudno. Ale skoro to jest jednak pamiątka rodzinna, zabiorę ją z sobą do Warszawy.

Weterynarz wzruszył ramionami, zapłacił mi za garaż i pożegnał mnie bardzo chłodno. Był na mnie trochę obrażony, ponieważ najpierw gorąco namawiałem go do kupna samochodu, a potem nagle zrezygnowałem ze sprzedaży.

Z odrobiną trwogi zasiadłem za kierownicą wehikułu wuja Gromiły. Uprzednio zauważyłem, że w baku jest tylko dziesięć litrów benzyny. Nalałem wody do chłodnicy, sprawdziłem poziom oleju silnikowego i stwierdziłem, że oprócz paliwa pojazdowi nie brakuje niczego do odbycia podróży z Krakowa do Warszawy. Hydrauliczne hamulce działały sprawnie, samochód posłusznie poddawał się każdemu drgnieniu kierownicy i natychmiast reagował na przyciśnięcie pedału przyśpieszacza.

Wyjechałem z bramy na ulicę i od razu poczułem się pewnie. Prądnica ładowała akumulator – cóż więcej można było wymagać od tego wehikułu? To prawda, pojazd był dość kłopotliwy, a to dlatego, że budził na ulicy sensację. Gdy zatrzymałem się na skrzyżowaniu przed czerwonym światłem, natychmiast jakiś przechodzień zajrzał do mnie przez celuloidowe okienko i zapytał ironicznie: „Panie, gdzie takie parowozy sprzedają?”. Nawet milicjant kierujący ruchem ulicznym na widok pojazdu wuja zrobił zdumioną minę i aż ręce mu opadły, co na krótko spowodowało dezorientację wśród kierowców znajdujących się na skrzyżowaniu.

Przez miasto przejechałem dość wolno, na trzecim biegu, obiecując sobie dopiero na szosie sprawdzić szybkość pojazdu.

Zajechałem przed stację benzynową, znajdującą się już na przedmieściu. Stały tu w kolejce trzy samochody osobowe – żółty wartburg, zielona simca i moskwicz. Ledwie zajechałem przed stacją, z samochodów tych wyskoczyli kierowcy i otoczyli mój wehikuł.

– Uff, ale nas pan przestraszył! – zawołał gruby właściciel wartburga, udając, że chwyta się za serce. – Myślałem, że to leci na nas helikopter, któremu się śmigła oberwały.

– E, nie – pokręcił głową właściciel simki – to raczej podobne jest do łodzi podwodnej.

– Albo do drezyny kolejowej – wtrącił kierowca moskwicza.

Nawet pracownik stacji benzynowej, ubrany w wyplamiony oliwą kombinezon, pofatygował się do mnie i zapytał ironicznie:

– Przepraszam, a pan co u nas zamierza tankować? Ropę naftową? Węgiel? Spirytus salicylowy, samogon? A może ten pański pojazd jeździ na zasadzie balonu? Nie sprzedajemy wodoru...

Nie odezwałem się. Wysiadłem z wehikułu i podszedłem do okienka, aby zapłacić za trzydzieści litrów benzyny. Przyznaję, że gdy odchodziłem od okienka i rzuciłem okiem na rząd samochodów przed stacją benzynową, na chwilę aż tchu mi zabrakło. Dopiero tutaj, gdzie stało obok siebie kilka lśniących lakierem aut, uwidaczniała się okropna brzydota pojazdu wuja Gromiłły. To był potwór, a nie samochód. Dziwołąg, skrzyżowanie okropności i brzydoty. To czółno na czterech kołach sterczało wśród opływowych karoserii nowych, lśniących wozów i spoglądało na mnie wylupiastymi oczami reflektorów. Wydawało się, że to jakaś ogromna larwa szkaradnego chrabąszcza przyczaiła się, aby kogoś pożreć. Przez moment miałem ochotę porzucić ją i cichaczem umknąć ze stacji benzynowej, zostawiając „larwę” swojemu losowi. W końcu jednak przemożem swą niechęć. Ostatecznie larwa ta bardzo grzecznie niosła mnie przez całe miasto. Może i dalej zachowywać się będzie podobnie?

Gruby właściciel wartburga zatankował mieszankę do swego wozu.

– Panie – zawołał do mnie na odjezdnym – pan chyba do muzeum prowadzisz to bydłę!

Nie odezwałem się.

Właściciel moskwicza zapytał mnie uprzejmie, ale z oczywistą kpinią w głosie:

– Czy można tym samochodem także orać pole?

Teraz również się nie odezwałem. Dali mi więc spokój. Kolejno odjeżdżały samochody sprzed stacji, a gdy zrobiło się miejsce dla mnie, podjechałem pod gumowy wąż z paliwem. Pracownikowi w kombinezonie wskazałem otwór w baku, nalał mi trzydzieści litrów. Gdy zakręciłem wlot baku, ów pracownik szepnął do mnie poufnie:

– Panie, niech się pan przyzna, co to za maszyna?

– Pamiątka rodzinna – powiedziałem.

Gdy ruszyłem z miejsca, krzyknął w moją stronę:

– W pańskiej rodzinie nie wszyscy chyba byli przy zdrowych zmysłach!

Już chciałem zatrzymać wehikuł i nawymyślać mu, ale zrezygnowałem. Pojazd, którym jechałem, był tak dziwaczny, że chyba usprawiedliwiał najgorsze szyderstwa.

Wyjechałem na szosę. Była szeroka, prosta i wyjątkowo pusta. Nie widziało się żadnego pojazdu aż do ciemnej ściany lasu zakrywającej horyzont. Wehikuł wuja Gromiły miał wspaniałe zrywy, w ciągu krótkiej chwili miałem już sześćdziesiąt kilometrów na liczniku, potem strzałka wskazała osiemdziesiąt kilometrów. Przy dziewięćdziesięciu wrzuciłem czwarty bieg. Strzałka licznika ciągle wędrowała w prawo – sto, sto dziesięć, sto dwadzieścia, wreszcie sto czterdzieści kilometrów. Nie chciało się wierzyć, że samochód osiągał taką szybkość, bo prawie nie odczuwało się jej wewnątrz wozu. Kadłub wehikułu był stosunkowo wąski i długi, ale koła samochodu rozstawione szeroko, co powodowało, że cały pojazd trzymał się szosy jak wóz wyścigowy.

Wkrótce dogoniłem moskwicza, którego spotkałem przed stacją benzynową. Właściciel jego zobaczył mnie w lusterku i dodał

gazu. Jechał środkiem szosy i ani myślał ustąpić mi miejsca. Po prostu wydawało mu się niewiarygodne, abym był zdolny go wyprzedzić. Zatrąbiłem trzykrotnie, zanim zdecydował się zjechać nieco na prawą stronę szosy. Przemknąłem mimo niego, mając sto czterdzieści kilometrów na liczniku, moskwicz nawet nie próbował mnie ścigać.

W dziesięć minut później dopędziłem simcę. Aby się popisać wspaniałą szybkością mojej „larwy”, przycisnąłem pedał przyspieszacza. Wyprzedziłem simcę, jadąc z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów, ale zaraz potem musiałem zwolnić, bo był zakręt, a za zakrętem środkiem jezdni wlokła się chłopska furka, simca dogoniła mnie, po chwili jednak znowu wysforowałem się do przodu i gnałem tak długo, aż natknąłem się na wartburga. Teraz włączyłem piąty bieg i mknąłem sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wartburg został daleko w tyle, choć jego właściciel zrobił wszystko, żeby tak się nie stało.

Szosa się zaludniła, zwolniłem więc szybkość jazdy. Wiedziałem już, jak wiele wart jest wehikuł wuja Gromiły, niepotrzebne więc już było narażanie się na niebezpieczeństwo.

Dogonił mnie wartburg i wyprzedził; jego gruby właściciel wychylił rękę przez okienko i dał mi znak, abym się zatrzymał. Zjechałem na brzeg szosy.

Właściciel wartburga truchcikiem dobiegł do mojego pojazdu.

– Panie, panie – mówił gorączkowo – co to za diabeł? Co to za szatan? Sprzedaj mi go pan albo zamieńmy się. Na wartburga.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie sprzedam. To pamiątka rodzinna.

Błagał, żebym mu pozwolił zajrzeć do silnika. Oczywiście pozwoliłem. Nadjechała simca, a potem moskwicz.

Zatrzymały się za nami. Ich właściciele wyleźli z wozów.

– Zatarł pan silnik, co? – pytali z triumfem, widząc, że maska wozu jest podniesiona.

– Nie, nie, ja tylko tak przez ciekawość patrzę do wnętrza – wyjaśnił gruby właściciel wartburga. – Dwanaście cylindrów. Słuchajcie, panowie, to potwór. Wspaniała maszyna.

Pozdejmowali marynarki, zaglądali do silnika, włązili pod samochód.

– Czy to coś po wodzie także pływać może? – spytał mnie właściciel moskwicza. – Bo tu z tyłu jest kotwica – wskazał zagraconą część wnętrza wehikułu.

– Oczywiście, że może pływać także i po wodzie – powiedziałem z głębokim przekonaniem. Byłem bowiem teraz pewien, że pojazd wuja Gromiły może wszystko. Lub prawie wszystko.